Nr. 31. We Lwowie dnia 1. sierpnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

List Jana Królikowskiego

do młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie.

(Drobny przyczynek do dziejów stosunków artystycznych i literackich lwowskich).

W archiwum tow. Bratniej pomocy słuchaczy uniwersytetu lwowskiego znajduje się list znakomitego artysty sceny warszawskiej Jana Królikowskiego, który za zezwoleniem wydziału wspomnianego towarzystwa poniżej ogłaszam. Uważam jednak za odpowiednie objaśnić tekst listu kilkoma szczegółami biograficznymi z życia Królikowskiego, co ze względu na zrozumienie jego słów, wydaje mi się niezbędnem.

Królikowski przybył po raz pierwszy do Lwowa w jesieni roku 1864, aby przedstawić się publiczności tutejszej w szeregu gościnnych przedstawień, które trwały od 14. października do 11. listopada. Rozpoczął je i zakończył popisową swą rolą w „Narcyzie Rameau“ a występował jako Hiob w „Burgrafach“ W. Hugo, Franciszek w „Zbójcach“ i t. d., każdym razem spotykając się z entuzjastycznem uznaniem nietylko krytyki, ile publiczności [1]).

Po raz drugi ujrzano artystę warszawskiego we Lwowie w lutym 1866.

Królikowski zaingaurował gościnne występy swoje na scenie lwowskiej, kierowanej wówczas przez Adama Miłaszewskiego, rolą wojewody w „Mazepie“.

„Dziennik literacki“ wychodzący wówczas pod redakcją Karola Cieszewskiego († 1867) i Juliusza Starkla, zajął wobec Królikowskiego stanowisko, rzekłbym protekcjonalne. Berło krytyki teatralnej dzierżyli w tem piśmie J. Starkel i Wład. Łoziński.

Po przedstawieniu „Mazepy“ pisał jeden z nich, iż Królikowski „złożył jeszcze jeden dowód, że gra po mistrzowsku“ a o kilka niżej: „Wystąpić w „Mazepie“, w utworze o tak wielkiem a może i za wielkiem napięciu tragicznem i zadowolnić widzów — to już wiele“. Za tem szło niesmaczne porównanie: „Kto widział pp. Huberta [2]) i Królikowskiego w roli wojewody mógł łatwo wynaleść różnicę, jaka zachodzi między rutynowanym aktorem a prawdziwym artystą“ [3]).

O drugim występie Królikowskiego w „Zbójcach“ pisał Wł. Łoziński a odezwał się już nieco mniej protekcjonalnie, a za to z większym zapałem; snać ujęła go genialna gra artysty.

Przyznając więc wielkie zalety grze Królikowskiego, obiecał, po zamknięciu całego cyklu gościnnych jego występów, dać „osobną charakterystykę talentu i artystycznej indywidualności [4]).

Uczynił to w artykule p. n. „Jan Królikowski we Lwowie“, ogłoszonym w dniu 13. marca 1866, [5]) który, wraz z bardzo nieodpowiedniemi enuncjacjami krytyki w „Gazecie narodowej“ były powodem, że znakomity artysta postanowił nigdy więcej nie występować na scenie lwowskiej mimo, że publiczność nie podzielała poglądów krytyki dziennikarskiej a młodzież uniwersytecka, wydająca wówczas

[1]) St. Pepłowski: Teatr polski we Lwowie (1780 do 1881) Lwów 1889 str. 284 i nast.

[2]) aktor sceny lwowskiej.

[3]) Dziennik literacki 1866; 13. lutego, nr. 7.

[4]) Dzien. lit. 1866 nr. 8 z d. 20. lutego.

[5]) Dzien. lit 1866 nr. 11.

własny organ p. n, „Tygodnik naukowy i literacki“ poczuwała się nawet do obowiązku ostrego skarcenia elukubracji recenzenta z „Gazety narodowej“ [6]. uczyniła zaś to tem chętniej, że Królikowski i porywał ją grą swoją, i właśnie wtedy, został członkiem wspierającym młodego wówczas tow. bratniej pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej, na którego dochód poświęcił jeden swój występ [7].

Kiedy więc rozeszła się wieść, iż Królikowski będąc w Krakowie mimo to żadną miarą nie chce zawadzić o Lwów, młodzież zwróciła się doń z prośbą zawartą w liście tyle interesującym, iż nie wahamy się go przytoczyć z kopji przechowywanej w archiwum tow. Brat. pom.

„Szanowny Panie ! Nie ulega wątpliwości, że ludzi wyższych szlachetnością charakteru lub geniuszem, sama Opatrzność wybiera na żywe pochodnie światła, co ogółowi ciemności ziemskie niebieskim płomieniem ożywić mają, że ich postawiła narodom jako żywe drogowskazy na drodze ich przeznaczenia.

Geniusz i charakter są jedynem, istotnem szlachectwem, są szlachectwem umysłu ; jednakże do tego, jak i każd go innego szlachectwa da się zastosować przysłowie francuskie : *noblesse oblige*. Zdaje się nam więc, że i geniusz wkłada na męża, którego Opatrzność z gwiazdą wyższych przeznaczeń na świat zesłała, pewne obowiązki względem tych, co go uwielbiają i podziwiają, że im więc nikt tego za złe wziąć nie może, jeżeli go jak najczęściej nietylko z daleka, ale i pośród siebie podziwiać i uwielbiać radzi, jeżeli spragnieni światła, które on rozsiewa, śmią się powołać na słowa Zbawiciela, że światła nie godzi się ukrywać przed ludźmi ! Nie dziw się więc, szlachetny Panie, że w imieniu całej młodzieży lwowskiej, równie gorącą dla Ciebie czcią przejątej, a radej podziwiać w Twej osobie wcieloną myśl twórczą tylu geniuszów, dowiedziawszy się, w tym roku masz zamiar udać się do Krakowa, by na tamtejszej scenie do tylu dawnych nowe uzbierać wieńce, śmiemy się udać do Ciebie, szlachetny Panie, z gorącą prośbą, abyś i nasze miasto równocześnie swem przybyciem zaszczycić raczył. Jeżeli ostatnia Twa bytność we Lwowie może nie ze wszystkiem miłe w Twym umyśle pozostawiła wspomnienie, to racz, szlachetny Panie, uwzględnić, że droga ciernista jest wszystkich równych Tobie geniuszów drogą, że każdy Prometeusz, co dla ludzkości niebieski ogień znosi, ma swe sępy, co jego serce gryzą. Mniemamy zresztą, że gorące prośby i życzenia ogółu naszego zdołają zatrzeć pamięć wrażeń niemiłych, które się przecież tylko do wspomnienia pojedynczych osób wiązać mogą. Ufni więc, że jeżeli czyjegokolwiek, to głosu młodzieży pełnej zapału dla wszystkiego co wzniosłe i szlachetne, nie możesz, szlachetny Panie, nie uwzględnić i nie wysłuchać, że go przyjmiesz jako wyraz całej naszej myślącej, czującej i ceniącej sztukę publiczności, cieszymy się nadzieją, że naszym gorącym prośbom zadość uczynić raczysz i kreślimy się pełni głębokiego szacunku i uwielbienia. — Słuchacze uniwersytetu i akademii technicznej we Lwowie“.

Na list ten nie wystosował Królikowski odpowiedzi wprost do młodzieży ale napisał do brata swego, Karola [8]), również artysty sceny lwowskiej z prośbą, aby go wobec młodzieży wytłumaczył. Karol Królikowski, pragnąc może, aby to wytłumaczenie wypadło jako najlepiej przesłał list brata tow. bratniej pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej, mianowicie zaś, tę część listu, która odnosi się do opisanych wyżej zajść.

Tyle dla wyjaśnienia listu, który podajemy w dosłownem brzmieniu.

Warszawa, d 25. stycznia 1867.

Mój kochany Karolu ! Daruj, że natychmiast nie odpisałem na Twój list, miałem chorobę w domu; żona i troje dzieci razem zapadło. Dzisiaj, Bogu dzięki, choć niezupełnie zdrowie im wróciło, umysł swobodniejszy i biorę pióro do ręki, aby przedewszystkiem, mój drogi bracie, przez Twoje usta podziękować tej dzielnej i zacnej młodzieży uniwersyteckiej, która uczyniła mi zaszczyt i mocno rozradowała serce, swem ze wszech miar pochlebnem dla mnie wezwaniem. Powiedz im, że pismo to zachowam jako najmilszą i najchlubniejszą pamiątkę życia i długoletniej pracy dla sceny Polskiej !

Ale niechaj sami osądzą, czy pomimo najgorętszego pragnienia, aby uścisnąć zacne i życzliwe mi ręce, odetchnąć jednem z Wami powietrzem, mogę do Was przyjechać? zostawiam to ich uznaniu, wierząc najzupełniej, że dzielna młodzież ceniąc swą godność osobistą, zrozumie i we mnie to poszanowanie stanowiska, na jakiem praca, jedynie tylko praca mozolna, sumienna, długoletnia mnie postawiła.

---

[6]) Tyg. nauk. i lit. 1866 str. 108.

[7]) Tyg. nauk. i lit. 1866 str. 88.

[8]) † 16. listopada 1867 w 58 r. życia Ob. Pepłowski j. w. str. 302.

(Dok. nast.) *J. A. Sierpniak*

SALUSIA.

(Dokończenie).

Z otwartych okien szkolnych dochodził ją głos nauczyciela, a wstrętny ten dźwięk, do rozpaczy ją doprowadzał. Zebrała wszystkie siły, aby się dźwignąć z miejsca i na wpół idąc, na pół czołgając się po ziemi posuwała dalej i dalej — ten głos jednak ciągle ją ścigał. Zdawało się, że przenika całe powietrze, że go wszędzie pełno, że ją ze wszystkich stron dochodzi. Było to pewno złudzenie, ale złudzenie tak silne, a tak dokuczliwe, że się z niego otrząsnąć nie mogła. Głowę zanurzała w trawie — uszy pięściami zaciskała — a mimo to wszystko obok szumu w głowie i tętnienia w pulsach słyszała nieustannie chrapliwe i przeszywające dźwięki: „Zwei mal drei ist sechs — zwei mal vier itd.

W południe, gdy jej towarzysze ze szkoły wracali — znaleźli ją pod gruszą przydrożną. Leżała skurczona, z głową ukrytą w ramionach, bezwładna i nieruchoma, a jęki rwały jej się z piersi. Gromadka dzieci obstąpiła ją i zaczęła się naradzać, co począć. Dać znać rodzicom? to za długo potrwa.

— Jeszcze ją tu nauczyciel odszuka — zauważono. Nauczyciel był w ich oczach jedynem groźnem niebezpieczeństwem, z którem się liczyły.

— Dalej chłopcy, pomóżcie — zawołał Waluś. — Dajcie mi ją na barana i podawał plecy do dźwigania gotowe.

— Nie poradzisz, Walek, daj pokój.

— Co? nie poradzę? Aha zobaczycie. Salusia lekka jak piórko, a ja dwie konewki wody udźwignę. — Była to przechwałka, ale dzieciom zamykała usta. Walek sam się przekonał, że podjął się zadania nad siły, bo Salusia osłabiona — bezwładnie zwisnęła mu na plecach.

— We dwóch dźwigniemy — zaproponował inny towarzysz.

Nieśli ją więc we dwóch, potem we trzech, a to ciągłe przekładanie, poprawianie — podnoszenie i sadzanie na ziemi, było dla biednej chorej męką niewypowiedzianą. Mimo najszczerszych chęci do chaty jej nie donieśli. Na początku wsi posadzili ją pod krzyżem, a Walek pobiegł naprzód dać znać rodzicom.

— Chodźcie szybko po Salkę zawołał od progu — nauczyciel ją zbił na śmierć.

Rodzice z krzykiem zerwali się i pobiegli. Przestrach ich, gdy ją spostrzegli w tym stanie, wypowiedzieć się nie da.

Kowal wziął córkę w ramiona, zaniósł do chaty, rozebrał łóżko, położył i zostawiwszy ją pod opieką żony natychmiast pobiegł do dworu. Szczęściem doktór mieszkał niedaleko i przed wieczorem nadjechał. Stwierdził silne wstrząśnienie mózgu, gorączkę, nakazał okłady zimne, zapisał lekarstwo i chciał odchodzić, lecz Śmigiel zatrzymał go w progu.

— Panie doktorze — zapytał, wszak pan zaświadczy przed sądem, że mi nauczyciel dziecko potłukł?

Doktór się zastanowił:

— Chcecie go skarżyć?

— A pewno! Ja muszę tego rozbójnika nauczyć, że mu polskich dzieci poniewierać nie wolno. Jeszcze on za to w kozie posiedzi?

Doktór spojrzał na niego ze współczuciem, lecz nieznacznie ramionami ruszył.

— Nic mu nie zrobicie, odrzekł. Ja świadczyć mogę, ale na mojem świadectwie nie poprzestaną, bo ja jestem w ich oczach niebezpiecznym agitatorem, od czasu jak towarzystwo przemysłowe założyłem, a Sokół miejscowy prezesem mnie obrał. Wezwą powiatowego fizyka, on im powie, że dziecko było za gorąco ubrane, dzień był upalny więc i bez potłuczenia tak samo zachorować mogło — świadectwo inspektora także coś zaważy, wreszcie sąd przyzna okoliczności łagodzące, a pan Katze 5—10 marek zapłaci. Zróbcie, jak chcecie, ale ja wam tego nie radzę.

Kowal spuścił głowę i wrócił do chaty.

Salusia nie odzyskała przytomności. Zrywała się na łóżku, chwytała się za głowę, drżała ze strachu, kurczowo ściskała ręce rodziców i wołała:

— Nie pójdę, nie pójdę! on mnie zabije!

Strapiona matka zalewała się łzami, uspokajała chorą, przemawiała do niej łagodnie, ręką gładziła po włosach, ale zdawało się, że dziewczątko nic z tego nie czuje i nie słyszy.

Po dwóch dniach uspokoiła się, ale była strasznie osłabiona. Otucha wstąpiła w serce Śmiglów, bo Salusia leżała cicho i zdawało się, że śpi. Rodzice stąpali na palcach, żeby dziecka nie zbudzić, szeptali mówiąc do siebie i jak mogli uciszali małego Stefka, który właśnie w tych dniach bardzo był niespokojny i płakał ciągle. Może truł się pokarmem zrozpaczonej matki. Niestety nad wieczorem okazało się, że polepszenie było zwodniczem. Dziecko zaczęło konać.

Ojciec i matka uklękli przy łóżku i chcieli odmawiać modlitwy, ale głos więznął im w gardle. Nawet łzy w oczach zamarły, w niemej

boleści wpatrywali się w swą ukochaną pieszczotę śledząc na jej twarzy resztę dogasającego życia.

Około północy zamknęła oczęta na wieki.

Matka z jękiem i płaczem rzuciła się na podłogę. Ojciec wciąż milczał, lecz twarz jego była jak skamieniała z rozpaczy.

Gdy ochłonęli nieco z pierwszego bolu zaczęli się krzątać około pogrzebu. Z troskliwością, którą otaczali żyjącą córeczkę zajęli się dziś jej ubraniem i przygotowaniem dla niej śmiertelnej pościeli. Póty póki mieli ją w chacie, póki nią byli zatrudnieni, zdawało im się, że nie zupełnie jeszcze rozstali się ze swem dzieckiem ukochanem.

Cała wieś poszła za trumną, że zaś wiadomość o tragicznym wypadku rozeszła się po okolicy, więc przybyło nie mało ludzi z wiosk okolicznych, a nawet przyjechało kilku panów ze sąsiednich dworów, zaznaczając tym sposobem współczucie dla nieszczęsnej ofiary germanizacyjnego systemu.

Nie było jednak dzieci szkolnych, bo właśnie obchodzić musiały rocznicę Sedanu i wraz z nauczycielem odbyć obowiązkową majówkę.

Kiedy Śmigiel z cmentarza wychodził spotkał je na drodze, jak idąc parami kierowały się ku szkoły. Za niemi szedł nauczyciel, a na czele Walek trzymając w ręku czarnobiałą chorągiew. Dzieci śpiewały chórem: „Was ist deutschen Vaterland?“

Widok ten wzburzył krew nieszczęśliwego ojca. Ryknął, z bolu dłoń ze ściśniętą pięścią ku nauczycielowi wyciągnął i krzyknął:

— Ja wam dam Vaterland, rozbójniki! Wy się tu na cudzem rozpościeracie — nasz chleb zjadacie — pastwicie się nad naszemi dziećmi! Won! do waszego Vaterlandu! żeby tu wasza noga nie postała, podłe robactwo jakieś!

Potem zaś zwrócił się do Walka.

— A ty, jak ci nie wstyd pruską chorągiew po polskiej ziemi obnosić! Rzuć to brzydactwo do rowu — ale zaraz!

Słowa te wywarły skutek natychmiastowy.

Walek rzucił chorągiew, kopnął nogą i puścił się kłusem. Za jego przykładem reszta dzieci podążyła w podskokach, każde zaś w biegu usiłowało potrącić sponiewierany sztandar. W mgnieniu oka cała gromadka rozsypała się po chatach, drogach, ścieżynach i miedzach, tylko zdala słychać było ich głosy śpiewające na całe gardło: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Nauczyciel posiniał z gniewu i przerażenia, ale mijając Śmigla nie rzekł ani słowa. Jak najspieszniej podążył do swego mieszkania. Może obawiał się zemsty pokrzywdzonego ojca? może widok jego żylastej dłoni strachem go napełnił? może, może, wyrzut sumienia zamknął mu usta.

Wypadek ten jednak nie przebrzmiał bez echa.

W kilka dni później Śmigiel został wezwany do sądu. Oskarżono go o zaburzenie pokoju publicznego, podbudzanie do oporu przeciw władzy, demoralizowanie dzieci, niebezpieczną dla państwa działalność — itp. zbrodnie.

Była to najwidoczniej sprawka nauczyciela, który usiłował tym sposobem odwrócic uwagę od własnego przewinienia i uchronić się przed zemstą swego przeciwnika.

Kowal się nawet nie bronił. Ból w jego sercu był jeszcze zbyt świeży, aby mógł obmyślać wykręty i wybiegi dla ocalenia siebie. Mówił co myślał, a choć wiedział, że się gubi, czuł w tem niewypowiedzianą ulgę, gdy w słowach wylał gorycz, która mu w piersi wzbierała.

Powoływał się na krzywdę, której doznał i groził, że spadnie ona kiedyś karą bożą na głowę nauczyciela, inspektora, prokuratora, sędziego i wszystkich innych gnębicieli polskiego narodu.

Po takich wystąpieniach naturalnie wyrok zapadł niekorzystny. Skazano go na pół roku więzienia i kazano zaraz nazajutrz stawić się do aresztu.

Był to chłodny, jesienny poranek, gdy Śmigiel żegnał się z żoną i opuszczał osieroconą chatę.

Kiedy odszedł, Śmiglowa siadła na progu z małym Stefkiem przy piersi: wzrok utkwiła w drogę wiodącą do miasta, a łzy jak groch spływały jej po twarzy, zlewały główkę niemowlęcia, spływały do jego usteczek.

Mały Polak karmił się łzami i mlekiem matki, ssał gorzki napój niewoli.

J. Moszczeńska.

Aleksander Jabłonowski.

POLSKA XVI. WIEKU

pod względem

geograficzno-statystycznym.

Tom IX. Ziemie ruskie. Ukraina. Warszawa 1897.

Akademja umiejętności w Krakowie pierwszą nagrodę imienia Barczewskiego przyznała w roku bieżącym dziełu p. Jabłonowskiego, którego tytuł został powyżej zamieszczony.

Uznanie zasłużone i rzetelnie wypracowane, jakie autora spotkało, nie stanowiło dla nikogo niespodzianki, wszyscy bowiem pracownicy polscy na niwie historycznej przywykli od dłuższego szeregu lat spotykać się z sumiennemi i pełnemi doniosłości naukowej studjami p. Jabłonowskiego, a reputację sumiennego i pracowitego badacza zyskał on sobie w naszym świecie uczonym oddawna. P. Jabłonowski brał oddawna poważny udział w wydawnictwie „Źródeł dziejowych", na którego czele stał ś. p. Adolf Pawiński, a w pomnikowem wydawnictwie p. t. „Polska XVI-go wieku pod względem geograficzno-historycznym", opracował kilka dzielnic dawnej rzeczypospolitej, które, ze względu na niedostateczny materjał historyczny, może najtrudniejszemi były do opracowania.

W dziele, odznaczonem zaszczytnie przez Akademję, a poświęconem Ukrainie, autor miał zadanie niezwykle trudne do wykonania, albowiem często znajdował się wobec tak drobnych okruszyn materjału dziejowego, że wszelkie pokuszenie się o odtworzenie pełniejszego obrazu wydawały się być daremnemi. Aby też osiągnąć jakikolwiek rezultat badań, trzeba się było uciekać do rozmaitych kombinacyj, obliczań pośrednich i do argumentacji, ubiegającej się, jedynie o wyższy stopień prawdopodobieństwa. Ze wszystkich jednak trudności wywiązywał się p. Jabłonowski sumiennie i z wielkim dla nauki pożytkiem. Przedstawił on dokładnie czytelnikowi opłakany stan źródeł historycznych, odnoszących się do Ukrainy, a następnie bardzo szczegółowo i logicznie uzasadniał cyfry, jakie otrzymał na mocy kombinowanych poszukiwań.

Zdaniem autora, nazwa Ukrainy powstać mogła dopiero wówczas, gdy ziemia ta została bezpośrednio wcielona do Litwy, a więc gdy jako ziemia kijowska stała się istotnie kresową, czyli ukrainną dzielnicą od południa księstwa. Charakter topograficzny Ukrainy odtworzył nam p. Jabłonowski tak dokładnie i ściśle, że wątpić można, aby w tym kierunku następnym badaczom pozostało dużo do zdziałania. Przebieg ukształtowania się województw i powiatów posiada także wiele interesu naukowego, ale niezmiernie bogaty w treść oryginalną jest cały rozdział o obronności Ukrainy.

Ukraina przecież była „ukrainą" całej Rzeczypospolitej od ściany jej najbardziej nieprzerwanie zagrożonej, od najdotkliwszego sąsiada, jakim był świat koczowniczy turański, po za którem pałało ognisko potężnego ówczesnego Islamu. Na nieszczęście ułatwiało ordyńcom ich niefortunne najazdy, samo położenie geo i topograficzne kraju, najbardziej zaś hydrograficzne upostaciowanie jego powierzchni. Wody Dniepru, owej najgłówniejszej arterji podobnie jak Bohu i Dniestru, spływały ku morzu Czarnemu, zmierzały też zaraz ku temu morzu rzek tych wododziały. Wododziałami temi i po ich ubocznych rozgałęzieniach przenikali i przedzierali się tatarzy, wszędy pozostawiając w pamięci dziejów drogom swoim złowrogą nazwę „szlaków tatarskich".

Szlak tatarski nie był ani gościńcem kupieckim, ani drogą przewozową; gościńce i drogi czasem się zlewały z nim, częściej go krzyżowały, ale szlak przedstawiał zawsze coś odrębnego zupełnie. Znany był jego ogólny kierunek jedynie, nigdy zaś poszczególne zwroty, których nadto ślad, wydeptywany kopytami końskiemi, zanikał szybko wśród traw stepowych. Szerokość szlaku odpowiada sile czambułu. Pospolicie rozciągał on się wszerz „na dwoje strzelenie z łuka", w razie jednak tłumniejszego pochodu ordyńców, na mil parę, kilka nawet.

Mając niebezpieczne sąsiedztwo, Litwa urobiła sobie oddawna własny system obronności, zwany systemem „bojarszczyzn", polegający na tem, że dokoła każdego zamku hospodarskiego rozmieszczone były osady bojarów dzierżących nadane im ziemie pod obowiązkiem wojennym utrzymywania i obrony tych zamków, wysyłania straży i czat w pole, nadto niezwłocznego występowania zbrojno na każde powołanie wojewody czy starosty. Wyciągnęły się też w poprzek Ukrainy całe linje obronne, osłaniające się wzajem. Straże zaś były trzech rodzajów: zamkowe, ostrogowe i polne. Te ostatnie, faktycznie najważniejsze, utrzymywano dla bezpieczeństwa od Tatarów, im tedy bliżej się czuło ordyńskich „ułusów", tem liczniejsze trzymano z natury rzeczy straże.

Ku połowie XVI wieku obronny system litewski okazał się na Ukrainie zużytym, a występuje tem natarczywiej potrzeba oparcia się o zaciężnego żołnierza, tylko, że jak we wszystkiem, tak i w tym kierunku szła u nas górą inicjatywa prywatna. Wobec niemocy władzy królewskiej i niedbalstwa stanów rzeczypospolitej, sprawa obronności Ukrainy spadała na barki prywatnych. Pan Ukrainy, nie widząc pomocy znikąd, zmuszony był myśleć o samoobronie, a za przykładem możnych szli skromniejsi dóbr posiadacze, także o własnej tylko obronie myśleli i niżowi kozacy.

Niezmiernie bogatym w treść naukową jest również cały rozdział pracy p. Jabłonowskiego, traktujący o osadnictwie. Co się tyczy epoki z przed Unji, to autor ostrzega, że na nicby się przydało najlżejsze nawet kuszenie się o jakieś ściślejsze obliczenie statystyczne, podług dat znanych rewizji zamków hospodarskich z przed Unji. Wobec siły niszczącej tatarskich spustoszeń, o poważniejszych rezulta-

tach osadnictwa, kierowanego przez jakąkolwiek władzę, mowy być nie mogło, a rozwijające się niewątpliwie sadowienie się ludu samorzutne, jako niepodlegające żadnej kontroli, dziś nawet w ogólnych zasysach pochwycić się nie da.

System osadnictwa po Unji, którym się kierowała rzeczpospolita, opierał się na możnowładczych latyfundjach. Możni panowie byli w stanie dawać dogodniejsze warunki przybyszom, niż ziemianie średniej zamożności, nic więc dziwnego, że koloniści ponad królewszczyzny i duchownych przenosili dobra wielkopańskie. Co do trybu posuwania się osadnictwa, to wogóle postępuje ono nie falą, nie ławą, lecz wyskokami w głąb, gdzie się najpierwej w ten czy w inny sposób obwarowywano, a następnie usadowiwszy się mocniej, szerzono się już dalej po okolu. Osadnictwo w dobrach wielkopańskich, dla większej skuteczności, prowadzonem było przeważnie przez osobną klasę ludzi temu tylko oddanej, którą nazywano osadczymi. Był to najzasłużeńszy może w sprawie kolonizacji zastęp pracowników. Wreszcie wspólne niebezpieczeństwo od tatarów jednoczyło do czasu ścislej wszystkie klasy wytwarzającego się na dalekich rubieżach społeczeństwa.

(Dok. nast.).

(Kurjer Warsz.) *A. Rembowski.*

Kolektywizm Lamprechta w historjozofji.

(Dokończenie).

Co jednak powoduje wzrost czynników pochodnych i w jaki sposób gromadzą się one? Lamprecht, analizując to pytanie, rozkłada czynniki biorące w tem udział na dwie części: zdobycze przeszłych generacji i generacją żyjącą, przez którą wzrost ten dokonywa się. Zdobycze przeszłych generacji, wedle niego, polegają na sumie przekazanych społeczno-psychicznych nabytków, które jednak nie są martwą, surową masą podobną do czynników naturalnych". Masa ta mieści się w głowach każdej żyjącej generacji. I tu kuleje psychologja społeczna Lamprechta. Niezrozumiałem jest bowiem, jak czynniki naturalne n. p. klimat, mogą być uważane za martwą, zmaterjalizowaną masę, po drugie zaś, jak minione zdobycze cywilizacyjne, wystawić sobie można, jako mieszczące się tylko w głowach żyjącej generacji np. zabytki sztuk, nauk, zabudowania gospodarskie. Już poprzednio mówiliśmy, że Lamprecht materjalne stosunki uduchowia, przedstawiając je jako siły społeczno-psychiczne. Tu widzimy jaskrawo, że pojęcie spuścizny cywilizacyjnej, nie odpowiada pojęciu jej jako wyłącznie siły psychologicznej. Kapitał społeczny istnieje w wielkiej części przedmiotowo, materjalnie, w pewnej tylko, jako stopniowe zmiany anatomiczno-fizjologiczne, przekazywane drogą dziedziczności istnieje podmiotowo w organizacji żyjącej generacji — nie można go więc pojmować jako mieszczący sią w głowach osobników. Nie wszystkie więc funkcje społeczne, które nazwaliśmy za Spencerem pochodnemi, dadzą się wyczerpać pojęciem sił społeczno-psychicznych. Jest to dedukcja, która nie godzi się z jego usiłowaniem zajęcia stanowiska empirycznego. To co, u Queteleta jest fizyką społeczeństwa, u Spencera możnaby nazwać fizjologją lub biologją, u Lamprechta jest psychologją.

Spuścizna przeszłości jest w każdym razie zasobem pracy umarłych generacji a jako taka jest energią potencjalną tkwiącą w stanach społecznych, przedstawioną przez czynniki pochodne. W teraźniejszości każdorazowej energja potencjalna — system czynników pochodnych ulega zmianom pewnym, małym zmianom pod wpływem pracy żyjącej generacji, zatem energji kinetycznej. Praca ta podwyższa zasób energji przekazanej, przemieniając się na progu niknięcia teraźniejszości w enegję potencjalną. Naturalną jest rzeczą, że jeżeli energji kinetycznej, swobodnej pracy jednostek stawiony jest opór, zmiany czynników pochodnych na które składa się ta energia będą coraz mniejsze — energia jednak nie może ginąć, przemienia się coraz żywiej w zapasy potencjalnej, którą możemy czuć w literaturze, życiu towarzyskiem, w atmosferze danego czasu. Gromadząc się w ten sposób stara się coraz usilniej zamienić w kinetyczną: osiągnąwszy to wreszcie zmienia czynniki pochodne w tem raźniejszem tempie, o ile zmiany te przedtem odbywały się powolniej, tak iż śmiałbym twierdzić, że średnia arytmetyczna zmian tych, obserwowanych w czasie gromadzenia się energji potencjalnej i jej wyładowania dałaby zmiany, jakie byłyby nastąpiły, gdyby energji opór nie był stawiony, gdyby mogła się rozwijać normalnie.

W energetyce tej społecznej widziałbym punkt widzenia potwierdzający doskonale prawo ciągłości w historji i to w jej politycznej stronie; wielu bowiem sądzi, że wojny, rewolucje, wybuchające nagle pewnego roku prawu temu przeczą — tymczasem są one ciągiem

dalszym rozwoju energji, przekształconej tylko zewnętrznie, tkwiącej przedtem w stanach społecznych jak braku zbytu dla produktów, zmniejszeniu wytwórczości, poczuciu złamanej wzajemnej przynależności i t. p. Czemże była reformacja, jeśli nie takiem wyładowaniem energji? Podobnie, jak naciągając sprężynę, zatem udzielając jej zdolności do wykonania pracy czyli energji potencjalnej, możemy to czynić do pewnej tylko granicy, oznaczonej spójnością cząstek, poza którą zaś sprężyna się przerywa i zwija, oddając energię nabytą w formie energji kinetycznej, tak też i pod koniec XV w. pod wpływem systemu feudalnego, opanowującego całe ówczesne życie, skomplikowanego, pozbawiającego osobistej wolności, wymagającego tysiącznych danin, następnie przez korrupcję kleru a ; odwyższony poziom oświaty wskutek rozszerzenia się humanizmu, wynalazku druku i zakładania szkoł, czynników więc różnych i wzajemnie się wykluczających —wytworzył się taki zasób energji potencjalnej, że wreszcie musiał się przenieść w żywą siłę ruchu, znanego pod nazwiskiem wojen religijnych.

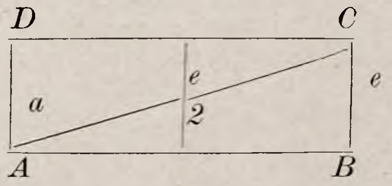
Przyjąwszy za niektórymi psychologami (Lichtenberg, Karol du Prel Psychologie der Lyrik S. 23) że nie możemy mówić o sobie „myślimy“, „ja myślę“ lecz, że myśli się w nas, przyjmowanie bowiem „ja“ jest tylko praktyczną potrzebą każdego, musimy odpowiedzieć za Gumplowiczem, że tem, co w nas myśli, jest społeczne środowisko. Wpływy więc otoczenia i dziedziczne własności jednostek decydują o ich indywidualizmie a działalność ich jest tylko reakcją na wpływy środowiska. Reakcje te okażą jednak rozmaite zabarwienie stosownie do tego, na jakie wpływy ustrój jednostek jest bardziej lub mniej odporny i w jaki sposób wpływy te w danym ustroju kombinowały się. Odmienność tych reakcji w dłuższym przeciągu czasu wychodzi bardziej na jaw, im zaś krótszy przeciąg czasu rozwoju historycznego będziemy rozpatrywać, tem zmiany, odchylenia od pierwotnego kierunku rozwoju będą mniejsze, tak, iż obserwowane np. w ciągu jednej minuty wydadzą się nieskończenie małemi i w tem właśnie leży ciągłość postępu.

Zmiany te odbywają się na wszystkich polach rozwoju, w gospodarstwie, sztuce, nauce, polityce przyczem zmiany na jednem polu warunkują zmiany na innem. To sprawia, że w ogólnej dyspozycji danego czasu istnieje pewna harmonia. Jest to duch czasu. Lamprecht nazywa ten ogólny stan harmonijny danej epoki duchowym diapasonem i jego zasługą jest, że drogą czysto empiryczną, przez czytanie źródeł, badanie dzieł sztuki i t. d. ogólne te typy rozwojowe dla historji niemieckiej postawił, scharakteryzował i sądzi, że mutatis mutandis znajdują się one, co najmniej w historji Francji, Anglji i ludów klasycznej starożytności. Przedstawię je pokrótce.

W wieku 13 do 15 włącznie sztuka niemiecka nosi piętno trzech typów, symbolizmu, polegającego na oddawaniu przedmiotów w grubych konturach, typizmu, charakteru czysto ornamentalnego, o lepszych już konturach posługującego się farbą tylko w celu ornamentyki (żółte konie, czerwone drzewa) i konwecjonalizmu, który opanowuje zupełnie kontur, tworzy sztuczne sceny (Hortus deliciarum) jednak ulega manierom. Wiek XVI. do połowy XVII-go odznacza się na tem polu indywidualizmem (Dürer), oddającym już barwy miejscowe, jednak nie światłocień, portretuje osoby bardzo dobrze i zaczyna zdejmować krajobrazy, i subjektywizmem (Menzel) umiejącym władać cieniem i zupełnie oddawać krajobrazy. Na polu religji, literatury, obyczajów, prawa odnalazł Lamprecht podstawy te same, które objawiły się w sztuce. Wspólnym charakterem tego rozwoju było coraz intenzywniejsze życie duchowe - odcienia robią się coraz delikatniejszemi, afekta się wyrównują, pojęcia i poglądy stają się coraz głębszemi. Epoki te duchowego rozwoju odpowiadają pod względem granic chronologicznych zupełnie epokom kultury materjalnej. Epoce symbolizmu odpowiada gospodarstwo okupacyjne, typizmu i konwencjonalizmu gospodarka naturalna, indywidualizmu i subjektywizmu — pieniężna. Ogólny charakter rozwoju, coraz intenzywniejsze życie objawia się i tu, gdyż gospodarka pieniężna jest intezywniejszym stopniem gospodarki, niż polegająca na wymianie naturalnej dóbr, gospodarka naturalna intenzywniejszym od okupacyjnej. Jasnem więc jest, że te epoki materjalnej i duchowej kultury, pokrywające się tak dokładnie, harmonizują ze sobą i stoją w ścisłym związku. Związek ten, jaki Lamprecht podał, może w ciągu badań krytycznych uledz zmianom, typy te jednak i fakt jednolitości ich uważa on za niewzruszone. Przeciwko uznawaniu tych epok za skończone w danym czasie zastrzega się jednak, widząc dobrze, że między indywidualizmem XVI w. a subjektywizmem pierwszej połowy 17 w. jest przejście indywidualno-subjektywne.

W ten sposób zmieniają się jednolite fazy rozwojowe a za jedną z podstaw do oceniania ich obok zasady coraz intenzywniejszej pracy, uważałbym większy lub mniejszy stopień egoizmu, odznaczający jednostki w pewnym czasie żyjące. Im większy bowiem jest egoizm jednostek, tem silniejszą jest anarchja, nierząd, decentralizacja w państwie, im słabszy, odwrotnie. Prawo normuje stosunki między ludźmi, ono stanowi o stopniu egoizmu jednostki, czyli

co wolno komu a czego nie wolno. Im bardziej więc godzą się jednostki na to, czego nie wolno tem silniejszem jest prawo rząd. Objawy tej zgodności przebijają się w obyczajach, religji, literaturze.



Przedstawmy sobie zapomocą odcinka BC zupełny egoizm (e=1), jaki jednostka posiadać może. Linia AC niech przedstawia statecznie malejący stopień egoizmu, wzrastający zaś egoizmu negatywnego t. j. altruizmu i tego koniecznego zrzeczenia się egoizmu, jakie wypływa z przystosowania się do warunków ekonomiczno-społecznych. Na przeciwległym zatem końcu odcinek AD przedstawi w zupełności egoizm negatywny (e=o). W tych granicach odbywać się może tylko rozwój. Faza e=1 odpowiadać więc będzie teorjom anarchicznym, Stirnera, Proudhona, Bakunina. Fazie e=o nie odpowiada ściśle żaden etyczno-filozoficzny kierunek t. j. taki, któryby głosił samobójstwo jednostki w celu poświęcenia się dla bliźniego. Najbliżej atoli stoi Buddyzm, głoszący złamanie pragnienia do życia (tanhâ), zabicie duchowego indywidualnego życia, pogardę małżeństwa, i Szopenhauer. W środku znajduje się faza e=a. Tę fazę zwiastowała światu nauka Chrystusa. Skoro bowiem za oś tej nauki będziemy uważać przykazanie „Kochaj bliźniego (każdego), jak siebie samego“, to znaczy ono, że każdy winien złożyć połowę na rzecz bliźniego swego czyli $\frac{e}{2}$. Dokładniej chyba nie można było tego powiedzieć.

Szemat ten uzmysławia stanowiska nauk tych a zarazem podaje formy rządu, e—anarchią, $\frac{e}{1}$ socjalizm, w *a* nie ma państwa bo nie ma jednostek. Dzisiejsze państwa znajdują się w fazie pomiędzy e i $\frac{e}{2}$. Im dalej idziemy w kierunku od e ku $\frac{e}{2}$ tem wedle tego, cośmy już wyżej powiedzieli, silniejszem jest prawo, rząd, tem kapitał społeczny bardziej wzrasta, czyli energja kinetyczna jednostek przemienia się w coraz większe zapasy potencjalnej. Widocznem znowu z tego jest w jak ścisłym związku, z tem zostają ilość i jakość literatury, sztuki, nauki; co do obyczajów zaś religji, prawa samo się przez się rozumie, gdyż moment ten jest rdzeniem tych pochodnych. Ludzkość posuwając się od e ku $\frac{e}{2}$, gromadzi coraz większy i doskonalszy kapitał społeczny.

Rozwinąwszy szerzej niektóre myśli, zastanówmy się pokrótce nad zasługą Lamprechta w historjozofji. Wywody jego nie są nowymi, lecz systematyczniej i umiejętniej wyrażonymi. Okoliczność ta jest wielkiego pnaczenia, jeżeli się zważy po pierwsze, że w ogóle tylko w ten sposób dochodzi się do głębszych i pewniejszych rezultatów a po drugie, że nigdzie tak o to bardziej nie chodzi, jak na tem polu, aby przesunięcie punktu widzenia na historją z jednostek na ogół weszło nam w krew i kości, abyśmy się przyzwyczaili spiritus movens w historji szukać gdzieindziej i inaczej, niż dotąd. Sądzimy zaś tak dlatego, że ostatecznie problemat ten ma być rozwiązany nie na drodze filozoficznej, lecz historycznej. Z tego względu zasługa Lamprechta jest wielka a wspomniane dziełka będą znakomitym przyczynkiem do i tak bogatej literatury w tym kierunku.

Benon Janowski.

Błędy językowe.

41. Mówimy, gdy chodzi o zwrot nieosobisty: „Książka ta *czyta się* łatwo“, „Muzyki jego *słucha się* z przyjemnością“, ale błędnemi są takie frazesy, jak np. „W książce tej *mówi się* o reformach“, albo „W artykule tym *układa się* nowy pogląd na....“ itp.

42. „Nie patrząc na...,“, albo „nie zważając na....“ zamiast „mimo“, „pomimo“ — jest błędem.

43 Nie mówi się *cłowy*, *lasowy*, *miastowy*, *wsiowy*, lecz *celny*, *leśny*, *miejski*, *wiejski*. Unikać też należy wyrazu *popod* (np. »chodzi popod rękę z kimś«), jako prowincjonalizmu galicyjskiego: samo *pod* wystarcza.

Z drukarni Z. Golloba.